

TA POWIEŚĆ JEST SZCZEGÓLNA. NIE WOLNO JEJ PRZEGAPIĆ.

Harlan Coben

LISA GARDNER ZNAJDŹ JĄ

Nikt nie chce być potworem.
Na pewno?

ALBATROS

AMERYKAŃSKA MISTRZYNI THRILLERA KRYMINALNEGO

Tytuł oryginału:
FIND HER

Copyright © Lisa Gardner, Inc. 2016
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Daria Kuczyńska-Szymala 2008, 2018
under exclusive license to „Sonia Draga” Sp. z o.o.,
sublicensed to Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Korekta: Marek Ostrowski

Projekt graficzny okładki: Justyna Nawrocka/Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce: © Lauren Jenkins/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

Rozdział 1

TO, CZEGO NIE WIEDZIAŁAM:

Gdy po raz pierwszy budzisz się w ciemnej drewnianej skrzyni, mówisz sobie, że to się nie dzieje. Próbujesz oczywiście pchnąć wieko. Nic dziwnego. Uderzasz w boki pięściami, kopiesz piętami dno. Walisz głową, raz za razem, choć sprawia ci to ból. I krzyczysz. Krzyczysz, krzyczysz i krzyczysz. Smarki lecą ci z nosa. Łzy ciekną z oczu. Aż chrypniesz i dostajesz czkawki. A potem docierają do ciebie jakieś dziwne, smutne i żalotne dźwięki i zaczynasz rozumieć, naprawdę to pojmować – tak, jestem uwięziona w ciemnej drewnianej skrzyni – w chwili, gdy uświadamiasz sobie, że to ty wydajesz te dźwięki.

Sosnowe deski wcale nie są gładkie. Dziurki na powietrze wycięto nierówno. Kiedy ich dotykasz, kiedy wsuwasz w nie palce, rozpaczliwie szukając... czegokolwiek... w opuszki wbijają ci się drzazgi. Przeklinasz drewniane zadry. A potem ssiesz skałeczony palec, zlizujesz krew z jego czubka i wydajesz z siebie kolejny jęk przypominający szczenięce skomlenie.

Jesteś sama w ciemnej skrzyni. To przerażające. Obezładniające. Okropne. Przede wszystkim dlatego, że wciąż jeszcze nie wiesz, jak bardzo powinnaś się bać.

Starasz się poznać skrzynię, bo to jest teraz twój dom. Rozpychasz się ramionami, żeby określić jej szerokość. Mierzysz odległość dłońmi, próbujesz podciągnąć stopy. Za mało miejsca,

żeby zgiąć kolana. Za mało miejsca, żeby się obrócić. Skrzynia ma dokładnie twoje wymiary. Jakby była zrobiona specjalnie dla ciebie. Twoja własna sosnowa trumna, twarda pod plecami, siniacząca łopatki, uwierająca tył głowy.

Jedyna wygoda: dno wyłożone gazetami. Na początku nie zauważasz tego szczegółu. A jeśli zauważasz, to nie rozumiesz. Dopóki po raz pierwszy się nie zsikasz. A potem leżysz całe dnie we własnym moczu. Jak zwierzę, myślisz. Tylko że nawet zwierząt nie traktuje się w ten sposób.

Zaschnie ci w gardle, popękają usta. Zaczyniesz wypychać palce do dziurek na powietrze, rozdzierając skórę tylko po to, żeby móc cokolwiek posmakować, połknąć, possać. Poznasz siebie taką, jakiej nigdy dotąd nie znałaś. Złamaną. Prymitywną. Odór własnego moczu. Słony smak własnej krwi.

A jednak nadal nic nie wiesz.

Gdy wreszcie słyszysz jakieś kroki, nie możesz wprost uwierzyć. To omamy, wmańwiasz sobie. To tylko ci się śni. Jesteś zagubioną, żalotną namiastką człowieka. Głupią, bezdennie głupią dziewczuchą, która powinna mieć swój rozum, a tymczasem jak skończyła? Lecz w końcu dociera do ciebie metaliczne pobrzękiwanie kłódki po drugiej stronie ściany skrzyni, kilkanaście centymetrów od twojego ucha...

Może znowu płaczesz. Albo płakałabyś, gdybyś nie była tak odwodniona.

Kiedy po raz pierwszy widzisz jego twarz, twarz człowieka, który ci to zrobił, czujesz ulgę. A nawet jesteś szczęśliwa. Patrzysz na jego pulchne policzki, oczy jak paciorki, otwarte usta, pożółkłe zęby i myślisz: Bogu niech będą dzięki. Bogu niech będą dzięki, Bogu niech będą dzięki, Bogu niech będą dzięki.

Wypuszcza cię ze skrzyni. Tak naprawdę to cię podnosi, bo nie jesteś w stanie ruszyć nogami; twoim mięśniom brakuje siły, nawet głowa ci się zwiesza. Chichoczesz. Głowa się zwiesza. Wyrażenie, które bawiło cię na lekcjach w szkole i wydarwało się bezsensowne.

A jednak. Głowa się zwiesza. Twoja głowa.

Boże, co za zapach. Czosnek, odór spoconego ciała, nieświeżych ubrań i brudnych włosów. Czy to ty? Czy on? Mdl cię. Nic na to nie poradzisz. A jego to śmiesz. Wyciąga w twoją stronę butelkę wody. I mówi, co dokładnie będziesz musiała zrobić, żeby na nią zasłużyć. Jest tłusty. Stary. Obrzydliwy. Odrażający. Splątana broda, przetluszczone włosy, plamy po keczupie na taniej koszuli w kratę.

Jesteś dla niego zbyt dobra. Za młoda, za świeża, za piękna. Dziewczyna, która może wybierać pomiędzy najfajniejszymi chłopakami na imprezie w college'u. Która ma wszystko przed sobą... miała.

Placzesz za matką. Błagasz go, żeby cię wypuścił, gdy leżysz skulona u jego stóp. A potem w końcu, resztką sił, zdejmujesz ubranie. Pozwalasz mu robić to, co chce. Krzyczysz, ale twoje gardło jest zbyt wyschnięte, żeby mógł się z niego wydobyć jakikolwiek dźwięk. Wymiotujesz, lecz twój żołądek jest zbyt pusty, by wyrzucić jakąkolwiek treść.

Przeżywasz.

Kiedy wreszcie on wysuwa dłoń z butelką wody, ale po to tylko, żeby wylać ci ją na głowę, bez wstydu unosisz ręce, by schwytać tyle wilgoci, ile się da. Zlizujesz ją z własnych dłoni. Wysysasz z tłustych, brudnych włosów. Czekaś na moment jego nieuwagi i ssiesz plamę po keczupie na koszuli, którą rzucił wcześniej na ziemię.

Z powrotem do skrzyni. Do skrzyni. Do skrzyni.

Wiekło opada z hukiem. Szczęka kłódka. Odrażający człowiek odchodzi. Znowu zostawia cię całkiem samą. Nagą. Posiniaczoną. Pokrwawioną. Wiedzącą rzeczy, których nigdy nie chciałaś poznać. „Mamusiū”, szepczesz.

Ale ten potwór jest prawdziwy. I nikt nie może zrobić nic, żeby cię uratować.

To, CO WIEM:

Niewiele można robić, tkwiąc w skrzyni wielkości trumny. Tak naprawdę jest tylko jedna rzecz, o której warto myśleć, którą warto kontemplować, wyobrażać ją sobie, minuta po minucie, godzina po każdej kolejnej koszmarnej godzinie. Jedna myśl, która utrzymuje cię przy życiu. Jedna idea, która daje ci siłę. Znajdziesz ją. Doprowadzisz do perfekcji. A potem, jeśli choć trochę mnie przypominasz, nigdy o niej nie zapomnisz.

Zemsta.

Lecz uważaj na to, czego pragniesz, zwłaszcza gdy jesteś głupią dziewczuchą zamkniętą w skrzyni wielkości trumny.

Rozdział 2

ZACZĘŁA OD MARTINI z sokiem z granatów. Oczywiście przepłaciła. Bary w Bostonie są cholernie drogie. A sok z granatów jest bardzo modny. Ale to był piątkowy wieczór. Przetrwała kolejny tydzień i, na Boga, zasłużyła sobie przynajmniej na owocowego drinka w horrendalnej cenie.

Poza tym wierzyła w siebie. Rozpięła kolejny guzik białej obcisłej bluzki, wyciągnęła spinki z sięgających ramion jasnych włosów. Miała dwadzieścia siedem lat, była zgrabna, a jej tyłek przyciągał wzrok. Może i zapłaciła za swojego pierwszego drinka, ale za kolejne już płacić nie powinna.

Wypiła łyk. Chłodne. Słodkie. Mocne. Rozgrzała alkohol na języku, a potem przełknęła. Wart każdego centa z tych czternastu dolarów.

Na chwilę zamknęła oczy. Bar zniknął. Brudna podłoga, stroboskopowe światła, przenikliwy jazgot otwierającego wieczór zespołu, który dopiero się rozgrzewał.

Znalazła się w pustce pełnej ciszy. W miejscu, które należało tylko do niej.

Gdy z powrotem otworzyła oczy, on już tam był.

KUPIŁ JEJ DRUGIEGO DRINKA. A potem trzeciego i nawet zaproponował czwartego. Ale wtedy mieszanka alkoholu

i dyskotekowych świateł zaczęła już zapowiadać bardzo nieprzyjemny poranek. Poza tym nie była głupia. Przez cały czas pan Czy Myśmy Się Już Kiedyś Nie Spotkali poił ją martini, a sam pił piwo.

Pod koniec drugiego drinka uznała, że facet wygląda całkiem nieźle. Muskularny, ewidentnie widać, że ćwiczy. Chociaż raczej byle jak ubrany: brązowe spodnie, koszula w niebieskie paski. Udaje młodego profesjonalistę, stwierdziła, choć zauważyła, że spodnie ma poprzecierane na brzegach nogawek, a koszulę lekko spłowiałą po wielu praniach. Gdy zapytała, czym się zajmuje, zaczął czarować. Och, trochę tym, trochę tamtym, powiedział z uśmiechem i mrugnięciem oka. Lecz jego wzrok był dziwnie beznamiętny, wręcz odległy, a ona poczuła pierwsze ukłucie niepokoju.

Szybko się zrehabilitował. Zorganizował martini numer trzy. Spozstrzegła, że nie nosi zegarka, gdy próbował zwrócić uwagę barmana dwudziestką, ale przegrał, bo inni klienci wymachiwali setkami. Nie miał też obrączki. Bez zobowiązań. Dobrze zbudowany. Wieczór zapowiadał się coraz lepiej.

Uśmiechnęła się, lecz nie wyglądała na szczęśliwą. Coś przemknęło przez jej twarz, znowu ta pustka, ta świadomość, że po tylu godzinach, dniach i tygodniach nadal czuje się samotna. I zawsze będzie się tak czuć. Nawet w miejscach pełnych ludzi.

Dobrze, że wtedy on wciąż był zwrócony w stronę baru.

W końcu złapał barmana – biała koszula, czarny krawat, muskularne ciało, czyli to, co zapewnia wysokie napiwki – i dostarczył jej nowego drinka.

Zdecydowała się na czwarte martini. Dlaczego nie? Mogła po nim potrajkotać trochę o tym i o tamtym z uśmiechem i mrugnięciem, które współgrały z blaskiem w jej oczach. Gdy jego wzrok zaczął błędzić po jej dekolcie, po kolejnym guziku, który przed chwilą rozpięła, nie wycofała się. Pozwoliła mu

gapić się na skrawek różowej koronki seksownego stanika. Pozwoliła mu podziwiać swój biust.

Dlaczego nie? Piątkowa noc. Koniec tygodnia. Zasłużyła.

CHCIAŁ WYJŚĆ Z BARU o północy. Namówiła go, żeby poczekali do zamknięcia. Zespół był zaskakująco dobry. Podobało jej się uczucie, które wywoływała w niej muzyka. Czuła, jak krew wciąż krąży jej w żyłach, jak serce wciąż bije w piersi. Nie najlepiej radził sobie na parkiecie, ale to nie miało znaczenia, tańczyła za nich oboje.

Zawiązała obcisłą bluzkę tuż pod biustem w stylu Daisy Duke. Czarne dzinsy biodrówki uwydatniały każdą krągłość jej ciała, a wysokie skórzane botki energicznie wystukiwały rytm. Po jakimś czasie porzucił zmagania z tańcem i po prostu kołysał się w miejscu, obserwując ją. Uniosła ramiona, uwydatniając piersi. Zataczała biodrami koła, a jej napięty nagi brzuch lśnił potem.

Zauważyła, że ma brązowe oczy. Ciemne. Beznamiętne. Czujne. Jak u drapieznika, pomyślała. Ale o tej porze, zamiast się wystraszyć, poczuła przypływ adrenaliny. Wymuskany barman też się na nią gapił. Zrobiła pokaz na parkiecie dla nich obu. Po czwartym martini odleciała, czuła słodycz w ustach, a jej ruchy stały się niezwykle płynne.

Mogłaby tańczyć przez całą noc. Zdobyć ten parkiet, zdobyć ten bar, zdobyć to miasto.

Tyle że pan Czy Myśmy Się Już Kiedyś Nie Spotkali nie tego chciał. Żaden facet nie kupuje dziewczynie trzech cholernie drogich drinków dla samej przyjemności oglądania jej w tańcu.

Zespół się zwijał, pakowali instrumenty. Bolesnie odczuła brak muzyki. Niczym ukłucie w sercu. Nie było już basu, który zapewniałby siłę jej stopom, maskował jej ból. Była już tylko

ona, pan Czy Myśmy Się Już Kiedyś Nie Spotkali i zapowiedź koszmarnego kaca.

Zaproponował, żeby wyszli zaczerpnąć świeżego powietrza. Miała ochotę się rozeźmiać. Powiedzieć mu, że o niczym nie ma pojęcia.

Ale zamiast tego wyszła za nim na wąską boczną uliczkę zasypaną niedopałkami papierosów. Zapytał, czy chce zapalić. Odmówiła. Złapał ją za rękę. A potem przycisnął do metalowego niebieskiego kontenera na śmieci i zaczął ugniatać jej pierś, ściskając brodawkę.

Nie miał już beznamiętnego wzroku. Roztopił się. Drapieżnik dopadł swoją ofiarę.

– Do mnie czy do ciebie? – zapytał.

Nie potrafiła się powstrzymać. Zaczęła się śmiać.

I wtedy wieczór zamienił się w koszmar.

PAN CZY MYŚMY SIĘ JUŻ KIEDYŚ NIE SPOTKALI nie lubił, gdy się z niego śmieją. Uderzył szybko. Otwartą dłońią w policzek. Jej głowa poleciała do tyłu prosto na metalowy kontener. Usłyszała trzask. Poczowała ból. Ale po czterech martini wszystko wydawało jej się odległe, jakby ten fatalny wieczór przytrafił się komuś innemu.

– Lubisz się drażnić?! – wrzasnął na nią, drugą ręką wciąż ściskając jej pierś i przysuwając wykrzywioną twarz do jej twarzy.

Z tak małej odległości poczuła piwo w jego oddechu i zauważyła charakterystyczną siateczkę czerwonych żyłek na nosie. Alkoholik. Powinna była zorientować się wcześniej. Taki typ, który upija się przed przyjściem do baru, żeby było taniej. A to znaczy, że nie przyszedł się upić, tylko przelecieć łaskę. Znaleźć dziewczynę taką jak ona i zabrać ją do siebie.

Innymi słowy, był dla niej idealny.

Powinna coś powiedzieć. Albo wbić obcas w jego stopę. Albo chwycić go za mały palec – nie za całą dłoń, tylko właśnie za mały palec – i wykręcić go tak mocno, aż dotknie nadgarstka.

Zaczęłyby wrzeszczeć. Puściłby ją.

Popatrzyłyby jej w oczy i zrozumiał swój błąd. Bo w Bostonie, podobnie jak w innych dużych miastach, takich jak on było pełno.

Ale takich jak ona też.

Nie miała okazji.

Wrzeszczał. Ona się uśmiechała. Może nawet śmiała. Z szumem w uszach i słonym smakiem krwi na języku. A wtedy pan Czy Myśmy Się Już Kiedyś Nie Spotkali przestał istnieć.

Był tam. A potem zniknął. Zastąpił go elegancki barman z piękną muskulaturą i zmartwionym wyrazem twarzy.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Skrzywdził panią? Potrzebuje pani pomocy? Zadzwoń na policję?

Podał jej rękę. Wsparła się o nią, przechodząc nad leżącym nieprzytomnie na ziemi panem Czy Myśmy Się Już Kiedyś Nie Spotkali.

– Nie powinien był dotykać pani w taki sposób – stwierdził rzeczowo barman. I wyprowadził ją z tłumku gapiów. Zabrał głębiej w cień, poza zasięg migających neonów baru. – Już dobrze. Teraz ja się tobą zajmę.

A ona dopiero w tym momencie zauważyła, że barman zbyt mocno ściska ją za ramię. I nie puszcza.

PRÓBOWAŁA PRZEKONAĆ GO SŁOWEM. Nawet jeśli jest na to inny sposób, od tego się zwykle zaczyna. Hej, wielkoludzie, co ci się tak śpieszy? Nie możemy trochę zwolnić? Hej, to boli. Ale on oczywiście ani nie zwolnił kroku, ani nie rozluźnił żelaznego uścisku tuż nad jej łokciem.

Śmiesznie szedł, przyciskając ją do swojego boku.

Wyglądali niczym para zakochanych na szybkim spacerze. Głowę miał jednak dziwnie pochyloną i lekko odwróconą. Nie chce pokazać twarzy, uświadomiła sobie. Żeby nikt go nie rozpoznał.

I wtedy zrozumiała. Jego postawa, sposób poruszania się. Widziała go już. Nie twarz, rysy, ale sylwetkę, linię karku. Trzy albo cztery miesiące temu, latem, w wieczornych wiadomościach, gdy studentka Boston College wyszła poimprezować i nigdy nie wróciła. Lokalne stacje telewizyjne nadawały w kółko nagranie z monitoringu, ostatni ślad, gdzie widać było, jak prowadzi ją jakiś mężczyzna idący bardzo szybko i starannie ukrywający twarz.

– Nie – szepnęła.

Nie zwrócił uwagi na jej protest. Doszli do skrzyżowania. Bez wahania skręcił w lewo w jeszcze ciemniejszą i węższą uliczkę, w której cuchnęło moczem, śmieciami i całą masą podejrzanych spraw.

Zapała się piętami, szybko trzeźwiejąc i próbując stawić jak największy opór. Ale jej pięćdziesiąt kilo wobec jego prawie dziewięćdziesięciu nic nie znaczyło. Przycisnął ją mocniej do siebie, objął drugą ręką w pasie i szedł dalej.

„Stój!”, chciała krzyknąć.

Nie wydała z siebie jednak żadnego dźwięku. Głos utknął jej w gardle. Nie miała tchu, płuca były zbyt ściśnięte. Rozległo się tylko ciche skomlenie, dźwięk, do którego w innych okolicznościach wstyd byłoby jej się przyznać.

– Mam rodzinę – wydyszała w końcu.

Nie odpowiedział. Kolejne skrzyżowanie, znowu skręt. Przemykanie pomiędzy wysokimi budynkami, byle nie na widoku. Zgubiła się, nie wiedziała już, gdzie są.

– Proszę... stój... – wydusiła z siebie. Tak mocno zaciskał ramię wokół jej pasa, że bolały ją żebra. Chciało jej się wymiotować. Miała nadzieję, że to zrobi, bo to by go

zniechęciło i przekonało, żeby ją puścił.

Nic z tego. Poczula gwałtowne mdłości, fioletowy płyn trysnął jej z ust, brudząc jej buty i jego nogawki. Skrzywił się, cofnął instynktownie, ale szybko się opanował i pociągnął ją dalej, szarpiąc za łokieć.

– Zaraz znowu zwymiotuję – jęknęła i potknęła się, co wreszcie go zwolniło.

– Za dużo wypiałś. – W jego głosie brzmiała pogarda.

– Nie rozumiesz. Nie znasz mnie.

Zatrzymał się tylko po to, żeby poprawić uścisk.

– Nie powinnaś była przychodzić do tego baru sama.

– Ale ja zawsze jestem sama.

Nie rozumiał. Może go to nie obchodziło. Patrzył na nią obojętnym wzrokiem, z twarzą pozbawioną wyrazu. A potem jego ręka wystrzeliła i mocno ją uderzył.

Jej głowa gwałtownie poleciała do tyłu.

Policzek ją palił. Oczy napełniły się łzami.

Przemknęła jej przez głowę myśl. Ulotna. Niewyraźna. Być może klucz do zrozumienia wszechświata. Ale zniknęła.

I podobnie jak pan Czy Myśmy Się Już Kiedyś Nie Spotkali przestała istnieć.

Piątkowy wieczór. Koniec długiego tygodnia. Zasłużyła.

PRZETRANSPORTOWAŁĄ. PRZENIÓSŁ na rękach albo przewiózł, nie miała pojęcia. Gdy odzyskała przytomność, nie znajdowała się już w nędznych zaułkach Bostonu, ale w jakimś ciemnym i wilgotnym pomieszczeniu. Bosymi stopami wyczuwała zimną podłogę. Beton. Pokruszony, nierówny. Piwnica, pomyślała, albo garaż.

Ledwo co widziała. Trzy małe okienka wysoko na jednej ze ścian. Nie wpuszczały światła, tylko mętną żółtawą poświatę. Jakby tam na zewnątrz stała uliczna lampa, zapewniająca

odrobinę oświetlenia.

Wykorzystała to nędzne światło, żeby stwierdzić kilka faktów: ręce skrzepowano jej z przodu plastikowym zaciskiem, była kompletnie naga i zupełnie sama. Przynajmniej w tym momencie.

Serce zaczęło jej szybciej bić. Głowa ją bolała, miała gęsią skórkę i zakładała, że ten stan względnego bezpieczeństwa nie potrwa długo. Facet, który nokautuje dziewczynę i zdejmuje z niej ubranie, nie zostawi jej w spokoju. Pewnie przygotowuje się teraz na resztę wieczoru. Nuci pod nosem. Rozważa, w co pobawi się ze swoją nową zabawką. Czuje się tak, jakby był najgorszym, najgorszym draniem w całym mieście.

I wtedy się uśmiechnęła. Choć to nadal nie był wyraz szczęścia.

Najpierw inwentaryzacja. Piwnica czy garaż to miejsca, gdzie odkłada się różne rzeczy, a jak wiadomo, to, co dla jednych jest śmieciem, dla innych stanowi skarb.

Postąpił głupio, nie krępując jej również nóg. Czyli nie jest tak doświadczony, jak mu się wydaje. Nie jest tak sprytny, jak chciałby być. Cóż, ludzie widzą to, co chcą widzieć. Nabrała się na jego muskulaturę. A on bez wątpienia uznał ją za naiwną blondynkę. Okazuje się, że dla obojga będzie to wieczór pełen niespodzianek.

Znalazła ciężki stół roboczy. Uniosła związane nadgarstki i przesunęła palcami po drewnianej powierzchni. Na jednym z rogów wyczuła duże metalowe imadło. Szybko zaczęła szukać zestawu narzędzi. Ale nie, aż taki głupi to on nie był. Albo ona nie miała aż tyle szczęścia.

Żadnych porzuconych ostrzy, pilników, młotka. Zaczęła przesuwać się wzdłuż ściany i niemal przewróciła metalowy kubek, ale w ostatniej chwili udało jej się go złapać. Lepiej nie ujawniać tak szybko, że odzyskała przytomność. Zdenerwowana przytrzymała pokrywę, po czym zmusiła się, by szukać dalej.

W kubie był wypełniony czymś worek na śmieci. Odstawiła go na razie, a potem przeszła wzdłuż pozostałych dwóch ścian. Znalazła kilka pustych kanistrów i dwie plastikowe butle. Sądząc po zapachu, jedna z nich zawierała resztki płynu do spryskiwaczy, a druga płyn do odmrażania szyb. Więc to najprawdopodobniej garaż. Jeśli w Bostonie, to raczej osobny budynek, zapewniający barmanowi prywatność.

Nie dywagowała, co to może oznaczać, nie zastanawiała się, po co komuś takiemu jak on potrzebne było odizolowane miejsce. Z tego samego powodu nie zainteresowała się kleistą plamą na podłodze w kącie. Ani trudnym do wytrzymania zapachem. Odorem, który pasował do smaku krwi w jej ustach.

Chwyliła butlę z płynem do odmrażania i przysunęła ją do drewnianego stołu roboczego. To był jego pierwszy błąd. A jej pierwsze zwycięstwo.

Znalazła opartą o ścianę łopatę. Natychmiast przystawiła plastikowy zacisk do jej krawędzi i zaczęła mocno trzeć. Po paru minutach ciężko dyszała, a lejący się pot szczypał ją w opuchnięte oko. Jednak wydawało jej się, że opaska... Nie. Krawędź łopaty była zbyt tępa albo plastik zacisku zbyt mocny. Próbowwała jeszcze przez chwilę, a potem z niechęcią zrezygnowała.

Plastikowe zaciski to trudna sprawa. Szczerze mówiąc, wolałaby metalowe kajdanki. Przynajmniej jednak wyświadczył jej przysługę i skrępował dłonie z przodu, więc mogła coś nimi zrobić bez naciągania plastiku tak mocno, że straciłaby czucie w palcach.

Mogła też poruszać stopami. I ramionami.

Mogła stanąć zupełnie nieruchomo i poczuć pustkę, tu i teraz. Ciemną. Niosącą ukojenie. Cichą.

Samotna w miejscu pełnym ludzi, pomyślała i przez chwilę jej ciało kołysało się do muzyki, którą słyszała tylko ona.

A potem spoważniała. Śmieci. Już pora.

Palcami rozerwała cienki plastik worka. Najpierw uderzył ją odór. Zepsute jedzenie, zgniłe mięso, coś gorszego. Poczowała mdłości, łyzy napłynęły jej do oczu, przełknęła wzbierającą żołąć. Nie pora na grymasy; wsunęła palce w ciemną wilgotną masę. Papierowe ręczniki. Kupa czegoś mokrego, nie wiadomo czego. Pojemniki po jedzeniu. Na wynos. Z domu albo jedzenie, które przyniósł tutaj, żeby nakarmić swoją ofiarę lub najeść się samemu w przerwie od rozrywki. W połowie worka poczuła nową falę odoru czegoś zepsutego, bardzo organicznego. Szybciej przesunęła palce. Suche płatki, miękkie łydgi. Kwiaty. Wyrzucony bukiet. Czy poza jedzeniem obsypywał swoje zabawki upominkami?

Pewnie był to ostatni etap podstępu, jakim zwabił niczego niepodejrzewającą ofiarę. I wtedy, w następnej sekundzie, uświadomiła sobie: tam, gdzie jest tani bukiet z kwiatami...

Skępowane dłonie poruszają się w szybkim tempie. Zanurzają w cuchnącym stosie. Z determinacją przekopują się przez nieświeżą chińszczyznę i lepki słodko-pikantny sos. Odrzucają na bok puste kubki po kawie i kolejne rozmiękłe badyle. Pakiecik, chciała wyczuć mały pakiecik. Mały, kwadratowy, z ostrymi krawędziami...

Bum.

Dźwięk rozległ się tuż za nią. Odgłos uderzenia dłonią albo stopą w metalowe drzwi garażu. Nie potrafiła się opanować. Zamarła. Naga. Drżąca. Po łokcie w śmieciach. I zaczęła nasłuchiwać kolejnego dźwięku, którym zapowiadał swoje przybycie.

Bo chciał, żeby wiedziała, że idzie. Chciał, żeby trzęsła się przerażona, zwinięta w kłębek, spodziewająca się najgorszego. To był właśnie tego rodzaju człowiek.

Uśmiechnęła się.

Lecz tym razem jej twarz wyrażała szczęście. W prawej dłoni trzymała to, czego szukała: płaską saszetkę z odżywką do

kwiatów ciętych, jaką zwykle dołącza się do bukietów.

Nie okłamała go. Nie znał jej. I to był jego pierwszy i ostatni błąd.

Drzwi do garażu za jej plecami zaczęły się podnosić z grzechotem. Dozował napięcie, nie śpiesząc się z ich otworzeniem.

Nie ma czasu, by czekać. Nie ma czasu, by planować. Wsunęła saszetkę między nadgarstki i złapała butlę z resztką płynu do odmrażania szyb. Przemknęła po nierównej betonowej podłodze i zatrzymała się pod szeregiem okienek znajdujących się wysoko. Słabe światło sączyło się nad nią, rzucając delikatną poświatę na środek garażu, a ją chowając w cieniu.

Drzwi do garażu. Otwarte w jednej czwartej. Jednej trzeciej. W połowie.

Wysunęła saszetkę. Chwyciła mocniej butlę, przytrzymując ją stopami, po czym obiema rękami odkręciła zabezpieczoną przed dziećmi nakrętkę. Nakrętka potoczyła się po podłodze, lecz stukot metalowej bramy zagłuszył wszelkie hałasy.

Drzwi otwarte w dwóch trzecich. W trzech czwartych. Wystarczy, by zmieścił się dorosły mężczyzna.

Odsunęła płyn do odmrażania na bok. Zmusiła się, by spokojnie potrząsnąć saszetką, żeby kryształki przesypały się na dół. Jeśli miało się udać, nie mógł zmarnować się ani jeden.

Wszedł do garażu.

Barman z piękną muskulaturą. Koszulę już zdjął. Mięśnie lśniły w blasku księżyca. Niesamowite ciało.

Powinna mieć wyrzuty sumienia z powodu tego, co za chwilę zrobi.

Ale nie miała.

Weszła w krąg przytłumionego światła. Wyeksponowała swoją nagość. I związane ręce.

Uśmiechnął się i od razu sięgnął do paska dżinsów.

– Nie znasz mnie – powiedziała wyraźnie.

Zatrzymał się, rzucił jej pytające spojrzenie, jakby zadała mu jakieś skomplikowane matematyczne zadanie.

A potem... ruszył w jej kierunku.

Rozerwała saszetkę, zrobiła trzy szybkie kroki i sypnęła zawartością w jego twarz.

Cofnął się, kaszląc i mrugając, gdy odżywka do kwiatów trafiła mu do oczu, nosa i ust.

– Co do...

Chwyliła otwartą butlę z płynem do odmrażania szyb, zakręciła nią trzy razy i...

Sekunda zawieszenia. Spojrzał na nią. Uważnie. I w tym momencie wreszcie się zobaczyli. Nie półnagi barman. Nie głupia blondynka. Tylko zła dusza i zagubiona dusza.

Trysnęła płynem do odmrażania prosto w jego twarz. Na jego nagą skórę i na granulki nadmanganianu potasu, które wciąż się do niej lepiły.

Jeszcze jedna sekunda. A potem...

Pierwsze smużki dymu. Z jego włosów. Z policzków. Z rzęs. Mężczyzna uniósł dłoń do twarzy.

I wtedy nastąpiła podstawowa reakcja chemiczna: skóra barmana stanęła w ogniu.

Zaczął krzyczeć. Biegać. Okładać się po głowie, jakby to mogło cokolwiek pomóc. Spanikował i robił wszystko, tylko nie to, co powinien. A powinien zatrzymać się, rzucić na ziemię i przetaczać się z jednej strony na drugą.

Stała tam. Nie drgnął jej nawet mięsień. Nie wypowiedziała ani słowa. Obserwowała, aż w końcu runął jak dymiące truchło. Wówczas dotarły do niej inne dźwięki. Sąsiedzi wołali w ciemnościach, pytając, co się dzieje. Odległe wycie syren, najwyraźniej jakiś bardziej rozgarnięty już zadzwonił pod 911.

Wreszcie się poruszyła. Spojrzała na szczątki napastnika, na smużki dymu unoszące się z jego poczerniałej skóry.

Piątkowa noc, pomyślała. Zasłużyła.

Rozdział 3

– KIM ONA JEST?

– Nie wiem. Jeden z sąsiadów, Kyle Petrakis, twierdzi, że stała nad ciałem. Naga, ze związanymi rękami i podbitym okiem.

– Zrobiła to ze związanymi rękami? – Detektyw sierżant D.D. Warren przyklęknęła, żeby przyjrzeć się zwęglonym szczątkom... Ofiary? Sprawcy? Ciało młodego mężczyzny było skulone niemal w pozycji embrionalnej, a jego ręce mocno przyciśnięte do twarzy. W ochronnym geście, który jednak, sądząc po śladach poparzeń na głowie, ramionach i twarzy, nie na wiele się zdał.

– Ogień chemiczny – odezwała się inna detektyw. – Wystarczy połączyć nadmanganian potasu z płynem do odmrażania szyb i puf!

D.D. zignorowała ją i spojrzała na Phila.

– Co wiemy?

– To dom Allena i Joyce Gouldingów – wyrecytował jej dawny partner. – Starsi państwo, przeczekują właśnie zimowe chłody na Florydzie. Ale zostawili w domu najmłodszego syna, dwudziestoosmioletniego Devona Gouldinga. W dzień prowadzi treningi na siłowni, a wieczorami pracuje jako barman.

- To jest Devon? – zapytała D.D., wskazując ciało.
- Hm... Będziemy musieli poczekać na odciski palców.

D.D. skrzywiła się. Popełniła błąd, biorąc wdech przez nos, i skrzywiła się jeszcze bardziej.

- A gdzie nasza ofiara, która zamieniła się w kata?
- Z tyłu radiowozu. Nie chciała pomocy ratowników.

Czeka na federalnych, do których od razu zadzwoniła.

- Do federalnych? – zapytała oschle D.D. i wstała. – Twierdzisz, że ta dziewczyna osobiście zaprosiła federalnych na naszą prywatkę? To kim ona, do diabła, jest?

Detektyw numer trzy – ostatni nabytek wydziału zabójstw bostońskiej policji – miała okazję się wykazać.

- Zadzwoniła do ich biura w Bostonie i poprosiła doktora Samuela Keynesa. Dodam, że numer znała na pamięć. Nadal uważasz, że to prywatka? – rzuciła tonem towarzyskiej pogawędki. – Czy może raczej grill?

D.D. odwróciła się na pięcie, zostawiła ciało i wyszła z garażu. Była szefową zespołu, więc mogła sobie na to pozwolić. A może zrobiła tak dlatego, że przy ograniczonym zakresie obowiązków musiała teraz inaczej ustalać priorytety?

To, że detektyw numer trzy zajęła jej miejsce w patrolu – ze względu na niedawno odniesione obrażenia Warren nie mogła wypełniać tego zadania – nie było powodem, by szykanować trzydziestopięcioletnią debiutantkę. Nie, tak naprawdę D.D. miała jej za złe imię. Carol. Carol Manley. Jak agentka ubezpieczeniowa albo zajmująca się domem mamuśka. Ale na pewno nie glina. Poważna detektyw nie mogła mieć na imię Carol.

Oczywiście poważny dowódca zespołu w wydziale zabójstw nie miałby obsesji na punkcie imienia nowej rekrutki i nie byłby tak małostkowy, by mieć jej je za złe. Teoretycznie.

Rok temu D.D. nie martwiła się kobietami o imieniu Carol. Ani przyszlnością swojej trzyosobowej jednostki. Ani

swoją pozycją w wydziale zabójstw bostońskiej policji. Żył kolejnymi śledztwami w sprawach zabójstw i to dawało jej szczęście. Aż pewnego wieczoru wróciła na miejsce zbrodni, żeby czemuś się przyjrzeć, i natknęła się na wciąż czającego się tam mordercę. Po krótkiej wymianie zdań spadła ze schodów i doznała złamania kości lewej ręki z przemieszczeniem. Nie mogła w niej nosić broni. Ani własnego dziecka.

Przez sześć miesięcy musiała siedzieć w domu, liżąc rany, martwiąc się o przyszłość i niemal dostając świra. Lecz powoli i nieuchronnie, jak obiecał jej terapeuta Russ, ciężka praca zaczęła przynosić efekty. I pewnego dnia zdołała poruszyć ramieniem, a kolejnego udało jej się wolno unieść rękę.

Jeszcze nie odzyskała pełni sił. Ani pełnego zakresu ruchów. Nie potrafiła na przykład przyjąć klasycznej dwuręcznej pozycji Weavera podczas strzelania. Ale ból stał się znośny, kość się zrastała, a poza tym D.D. cieszyła się doskonałym zdrowiem. To wystarczyło, żeby przekonać zwierzchników, że może wrócić do pracy w ograniczonym zakresie obowiązków. Co oznaczało, że spędzała teraz więcej czasu jako szefowa zespołu niż jako detektyw biorąca bezpośredni udział w śledztwach. Powtarzała sobie, że wytrzyma. Robota to robota i tak czy siak rozwiązuje sprawy kryminalne.

Oczywiście nadal chodziła trzy razy w tygodniu na terapię zajęciową, gdzie zamiast pistoletu używała hantli, ćwicząc raz za razem ruch rozpinania kabury, wyciągania pistoletu i oddawania strzału. Spędzała też czas na strzelnicy. Jednoręka. Nie tak dobra. Wprawdzie wciąż nie spełniała standardów operacyjnych, ale od czegoś trzeba było zacząć.

W przeciwnym razie Phil i Neil, najlepsi detektywi w wydziale, na zawsze zostaliby z nowicjuską.

Garaż Gouldingów był osobnym budynkiem na tyłach posiadłości, z miejscem na jeden samochód. D.D. wymaszerowała z niego, przeszła przez niewielkie podwórko

i wyszła na ulicę. Słońce właśnie wschodziło. Szary, chłodny świt zupełnie nie pasował do ożywionej aktywności wokół. Po obu stronach ruchliwej osiedlowej uliczki stały zaparkowane radiowozy, a także karetka pogotowia i kilka sporych, robiących wrażenie wozów transmisyjnych.

Funkcjonariusze, którzy jako pierwsi dotarli na miejsce, wykonali kawał dobrej roboty: żółtą taśmą policyjną odgradzili cały teren, od szarego dwupiętrowego domu w stylu kolonialnym aż po zaniedbany garaż na tyłach, i zdecydowanie ułatwili D.D. zadanie. Wścibscy sąsiedzi zebrani na chodniku po drugiej stronie ulicy? Tak jest. Rozgorączkowane reporterzy trzymani w odległości czterdziestu metrów od najbliższego policjanta? Tak jest. No to do kompletu brakuje...

D.D. dostrzegła kobietę siedzącą z tyłu trzeciego radiowozu. Jej ramiona drżały lekko pod niebieskim kocem bostońskiej policji, ale patrzyła prosto przed siebie. Obok siedziała policjantka z miejscowego posterunku. Drzwi były otwarte, jakby kobiety czekały na coś lub na kogoś. Milczały.

– Margaret. – D.D. przywitała się z funkcjonariuszką. Gdy zbliżyła się do radiowozu, zrozumiała, dlaczego jego drzwi pozostawiono szeroko otwarte. Na miejscu zdarzenia śledczy oznaczyli worek z zepsutym jedzeniem, który został wyciągnięty z metalowego kubła i rozerwany. Kobieta grzebała w nim chyba aż po łokcie, sądząc po odorze zgniłego mięsa i skwaśniałego mleka, jaki się wokół niej unosił, nie wspominając o smugach czegoś oślizgłego na jej policzkach i włosach.

– D.D. – rzuciła policjantka. – Słyszałam, że wróciłaś. Cieszę się.

– Dzięki. – D.D. cały czas przyglądała się kobiecie. Rzekomej zabójczynie. Rzekomej ofercie. Dziewczyna wydawała się młoda, na oko dwudziestoparoletnia. Jasne włosy do ramion, delikatne rysy; byłaby bardzo atrakcyjna, gdyby nie szpecące ją siniaki, smugi krwi i smarki. Dziewczyna nie

odwzajemniła spojrzenia, tylko cały czas skupiała wzrok na fotelu kierowcy przed sobą.

Otępienie emocjonalne, uznała D.D. Często spotykane u gliniarzy z wydziału zabójstw albo u ofiar długotrwałego molestowania.

Stojąc przy wozie, D.D. nachyliła się tak, by twarzą znaleźć się na poziomie jej twarzy.

– Sierżant D.D. Warren – przedstawiła się. – A pani?

Dziewczyna w końcu odwróciła głowę. Spojrzała na D.D. Przez chwilę przyglądała się jej tak, jakby czegoś szukała, po czym znów zajęła się obserwacją tyłu fotela.

D.D. się nie śpieszyła.

– Niezła scena w tym garażu. Mówią, że to ogień chemiczny. Spaliła pani człowieka żywcem za pomocą nawozu i płynu do odmrażania szyb. Gdzie się pani tego nauczyła? W skautach?

Zero reakcji.

– Niech zgadnę. Devon wydawał się całkiem miły, gdy się poznaliście. Przystojny, pracowity. Postanowiła pani dać mu szansę.

– Devon? – Dziewczyna wreszcie się odezwała, choć nadal patrzyła przed siebie. Głos miała ochryply. Jakby za dużo paliła. Albo za dużo krzyczała.

– Tak się nazywała ofiara. Devon Goulding. Co, nie miała pani okazji zapytać?

Chłodne niebieskie oczy. Szare, poprawiła się D.D., gdy dziewczyna na nią spojrzała.

– Nie znałam go – powiedziała. – Dziś zobaczyłam go po raz pierwszy w życiu.

– No proszę.

– Jest barmanem – dodała dziewczyna, jakby to miało coś D.D. powiedzieć. I powiedziało.

– A więc wyszła pani wieczorem na miasto. I trafiła do

baru, w którym pracował. Tak się poznaliście.

– Nie poznaliśmy się – upierała się dziewczyna. – Byłam tam z kimś innym. Barman... poszedł za nami. – Znowu spojrzała na D.D. – Zrobił to już wcześniej – stwierdziła rzeczowo. – W sierpniu. Ta dziewczyna, która zaginęła. Stacey Summers. Sposób, w jaki mnie chwycił, to, jak pochylał głowę, żeby nie było widać jego twarzy, gdy ciągnął mnie ulicą... Pasuje do wizerunku człowieka z wideo z porwania. Przeszukałabym dokładnie jego dom.

Stacey Summers była studentką Boston College, która zaginęła w sierpniu. Młoda piękna blondynka, miała promienny uśmiech i świetne zdjęcia, dzięki którym mogła trafić do ogólnokrajowych mediów. I trafiła. Niestety, trzy miesiące później policja nadal miała jedynie rozmazane nagranie pokazujące, jak jakiś wysoki mężczyzna ciągnie Stacey po wyjściu z lokalnego baru. I tyle. Żadnych świadków. Żadnych podejrzanych. Żadnych tropów. Sprawa utknęła, nawet jeśli zainteresowanie mediów nie słabło.

– Zna pani Stacey Summers? – zapytała D.D.

Dziewczyna pokręciła głowę.

– Jest pani przyjaciółką rodziny? Koleżanką ze studiów? Poznała ją pani kiedyś w jakimś barze?

– Nie.

– Jest pani gliną?

– Nie.

– FBI?

Znowu pokręciła głowę.

– Więc interesuje się pani sprawą Stacey Summers...

– Oglądam wiadomości.

– Oczywiście. – D.D. przechyliła głowę, przyglądając się swojej rozmówczyni. – Ma pani znajomości wśród agentów federalnych – stwierdziła. – Przyjaciel rodziny? Sąsiad? W każdym razie ktoś na tyle bliski, że znała pani jego bezpośredni

numer telefonu.

– Nie jest moim przyjacielem.

– W takim razie kim?

Lekki uśmiech.

– Nie wiem. Będzie pani musiała jego spytać.

– Jak się pani nazywa? – D.D. się wyprostowała. Lewe ramię zaczynało jej dokuczać. Nie wspominając o nadwerżzonej cierpliwości.

– On tego nie wiedział – powiedziała dziewczyna. – Ten barman... Devon. Było mu wszystko jedno. Przyszłam do baru sama. Jego zdaniem to wystarcza, by stać się ofiarą.

– Była pani w barze sama? I sama pani piła?

– Tylko pierwszego drinka. Tak to zwykle działa.

– A ile drinków pani wypila?

– A co? Upiłam się, więc zasłużyłam?

– Nie, ale jeśli jest pani pijana, to nie będzie pani wiarygodnym świadkiem.

– Większość wieczoru przetańczyłam z jednym gościem. Widzieli nas ludzie. Mogą to poświadczyć.

D.D. zmarszczyła brwi; nadal nie podobały jej się odpowiedzi tej kobiety ani użycie przez nią słowa „poświadczyć”. Takiego użyłby funkcjonariusz, zwykły cywil powiedziałby „potwierdzić”.

– Nazwisko tego gościa?

– Pan Czy Myśmy Się Już Kiedyś Nie Spotkali – mruknęła dziewczyna.

Policjantka po drugiej stronie wozu przewróciła oczami. Najwyraźniej D.D. nie była pierwszą osobą, która zadawała pytania i uzyskiwała na nie podobne odpowiedzi.

– A czy on może to poświadczyć? – D.D. zaakcentowała ostatnie słowo.

– Zakładając, że odzyskał przytomność.

– Skarbie...

– Powinniście przeszukać ten garaż. Na podłodze z tyłu w lewym rogu jest krew. Czułam ją, gdy grzebałam w śmieciach, szukając jakiejś broni.

– I tam znalazła pani nadmanganian potasu?

– Wyrzucił bukiet, pewnie użył go do zwabienia poprzedniej ofiary. Nie byłam pierwsza, zapewniam. Był zbyt pewny siebie, zbyt dobrze przygotowany. Jeśli to jest jego dom, sprawdźcie sypialnię. Będzie miał trofea. Drapieżnicy jego pokroju lubią na osobności napawać się dawnymi zdobyczami.

D.D. wpatrywała się w młodą kobietę. W trakcie wielu lat służby w wydziale zabójstw przesłuchiwała ofiary, które wpadały w histerię. Radziła sobie z takimi, które były w szoku. Jeśli w grę wchodzi zbrodnia, nie ma żadnych norm dla emocji. A mimo to nigdy nie spotkała takiej ofiary. Reakcje kobiety daleko odbiegały od standardowych. Do diabła, w ogóle do niczego nie pasowały.

– Czy wiedziała pani, co Devon...

– Barman.

– ...co barman zrobił tamtym kobietom? Może ktoś znajomy pani powiedział? Albo sama miała pani złe doświadczenia? A może słyszała pani plotki o tym, co przydarzyło się kiedyś jakiejś dalekiej znajomej?

– Nie.

– Ale coś pani podejrzewała? – kontynuowała D.D. surowym tonem. – A przynajmniej uważała pani, że miał coś wspólnego ze zniknięciem innej młodej kobiety, o którym było bardzo głośno w mediach. I co? Postanowiła pani wziąć sprawy w swoje ręce, zamienić się w superbohaterkę i też trafić na pierwsze strony gazet?

– Spotkałam go dopiero wczoraj wieczorem. Wysłałam z baru z innym dupkiem. To jego chciałam zaliczyć. – Dziewczyna wrzuciła ramionami i skierowała wzrok z powrotem na fotel kierowcy. – Wieczór pełen niespodzianek. Zdarzają się nawet

komuś takiemu jak ja.

– A kim pani jest?

Znowu ten uśmiech, który nie był uśmiechem, lecz czymś niepokojącym, co przemknęło przez jej twarz.

– Nie znałam tego barmana. Słyszałam o sprawie Stacey Summers, ale kto nie słyszał? Nie przyszłoby mi do głowy... Powiedzmy wprost: nie planowałam, że jakiś umięśniony pracownik baru znokautuje mnie i zabierze sobie jak jakąś zabawkę. Ale skoro tak się stało... Wiem, jak przetrwać. Wiem, jak się bronić. Wykorzystałam zasoby, jakie były dostępne...

– Grzebała pani w jego śmieciach.

– Pani by tego nie zrobiła?

Młoda kobieta popatrzyła na D.D. Ta w tym momencie odwróciła wzrok.

– To on zaczął wojnę – oznajmiła zdecydowanie dziewczyna. – A ja ją tylko zakończyłam.

– A potem zadzwoniła pani po FBI.

– W tej kwestii nie miałam wyboru.

D.D. nagle coś tknęło. To nie było dobre przeczucie. Przyjrzała się ofierze, dwudziestoparolatce doświadczonej w procedurach sądowo-policyjnych i w samoobronie.

– Ten agent specjalny, do którego pani zadzwoniła, to pani ojciec?

Dziewczyna wreszcie zaczęła traktować ją poważnie.

– Gorzej – odpowiedziała.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).